

Zygmunt Paterczyk

ZIEMIA-CHŁOPOM

Współczesne węzłowe zagadnienia rolnictwa wielkopolskiego koncentrują się wokół mechanizacji, intensywności produkcji, bazy paszowej, melioracji, kółek rolniczych, spółdzielczości produkcyjnej itp. Owe zasadnicze problemy nie zawsze przeciętny zjadacz chleba kojarzy z wydarzeniami, które wyzwoliły ogromną inicjatywę producentów chleba. Tym wydarzeniem była przede wszystkim rewolucja agrarna, którą w codziennym języku nazywamy reformą rolną.

Reforma rolna, parcelacja — to pojęcie, w które można wkładać różną treść. Starsi pamiętają na pewno to, co przed wojną klasy rządzące szumnie nazywały właśnie reformą rolną. Obszarnictwo, które w województwie poznańskim posiadało w swoich rękach ponad połowę ogólnej powierzchni gruntów (wielka własność prywatna, państwowa, kościelna i inna publiczna powyżej 100 ha skupiała 53,5 proc. ogólnej powierzchni gruntów) jak i burżuazja, wobec silnego wrzenia rewolucyjnego, musiały pójść na pewne ustępstwa. Sejm w 1919 roku podjął uchwałę „o zasadach wprowadzania reformy rolnej”, w 1920 roku ustawę o reformie rolnej, wreszcie w 1925 roku podobną ustawę, jeszcze mniej korzystną dla chłopstwa od poprzednich.

Reforma rolna w okresie międzywojennym uprzywilejowywała zaможne warstwy wsi, ponieważ chłop za otrzymaną ziemię musiał płacić. Na cele reformy rolnej w województwie poznańskim miało być przeznaczonych około 530 000 hektarów gruntów. W okresie dwudziestolecia udało się rozparcelować zaledwie 213 500 ha. Parcelacja ta, nie naruszając interesów obszarnictwa, nie rozwiązała problemu głodu ziemi.

Problem zlikwidowania przeżytków feudalnych, zniesienia obszarnictwa jako klasy, i podziału skonfiskowanej ziemi między chłopów — wysunęła natomiast Komunistyczna Partia Polski.

Zorganizowana w styczniu 1942 r. Polska Partia Robotnicza, podjęła hasła swej poprzedniczki — KPP.

Program rolny PPR był jednak szerszy. Należało go szczegółowo opracować, przystosować do specyfiki niektórych regionów Polski, powiązać reformę rolną z całością przemian ludowo-demokratycznych oraz kierować przebiegiem samej parcelacji.

Zadania te PPR i nowo powstała władza — władza ludu pracującego miast i wsi — rozwiązała do końca. Deklaracja, programowa PPR z listopada 1943 roku pt. „O co walczymy”, deklaracja Krajowej Rady Narodowej, Manifest Lipcowy PKWN i wreszcie dekret o reformie rolnej z 6 września 1944 roku — określili charakter, zakres i zasady nadawania chłopom ziemi.

Dekret przewidywał przejęcie, bez wynagrodzenia, na rzecz Skarbu Państwa ziemi obszarniczej, gospodarstw i majątków pomieszczeń. Nieznaczna tylko część ziemi skonfiskowanej została przeznaczona na cele państwowe; większość objęła reforma rolna.

Wyzwolenie naszego województwa przez Armię Radziecką umożliwiło przystąpienie do wprowadzania w życie dekretu PKWN o reformie rolnej. W wielu powiatach, zanim jeszcze utworzono administrację państwową, chłopcy i robotnicy rolni samorzutnie zaczęli obejmować gospodarstwa opuszczone i dzielić ziemię obszarniczą. Najwcześniej przystąpiono do przejmowania majątków i gospodarstw w powiatach wschodnich naszego województwa — Koło, Turek, Konin i Kalisz. Należało jednak przeprowadzić podział ziemi zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi, by nie dopuścić do wypaczenia ludowego charakteru reformy.

Ziemię, zgodnie z dekretem PKWN, otrzymywali robotnicy rolni, chłopcy bezrolni, małorolni i — w przypadkach licznych rodziny — również średniorolni.

Organizowanie władz powiatowych i wojewódzkich, a zwłaszcza powołanie pełnomocników do spraw reformy rolnej, powstanie organizacji PPR — pozwoliło kierować przebiegiem parcelacji. Równocześnie powstają Urzędy Ziemskie, którym wyznaczono rolę organizacyjno-techniczną przy przeprowadzaniu reformy. Polska Partia Robotnicza, zgodnie z leninowską tezą uznała, że podział ziemi jest sprawą samych chłopów. Zadanie władzy państwowej polegało jedynie na udzieleniu pomocy technicznej i prawnym uregulowaniu spraw związanych z nadziałem gruntów. W tym celu powołano do życia Gminne Komisje Reformy Rolnej, w skład których wchodził pełnomocnik do spraw reformy rolnej oraz delegaci — wybrani na zebraniach przez uprawnionych do nadziału chłopów i robotników rolnych z poszczególnych gromad i majątków. W każdym majątku parcelowanym powstały Komitety Folwarczne, które przy pomocy administracji państwowej obejmowały majątki obszarnicze i dzieliły ziemię. Powołano Komitety Folwarczne, które przy pomocy administracji państwowej obejmowały majątki obszarnicze i dzieliły ziemię. Powołano Komitety Folwarczne, które przy pomocy administracji państwowej obejmowały majątki obszarnicze i dzieliły ziemię.

Z kart historii PPR
Wybrane Komitety Folwarczne z udziałem pracowników administracji państwowej i brygad robotniczych (w zasadzie złożonych z samych członków PPR, delegowanych przez KW PPR i Komitety Powiatowe) — dokonywały aktu przejęcia majątku na rzecz Państwa, zabezpieczały majątek ruchomy (inventarz żywy i martwy oraz zapasy). Odpowiedzialnym za całość majątku do czasu parcelacji był Komitet Folwarczy. Tam, gdzie nadal przebywali właściciele — należało ich z majątku usunąć. Taka konieczność, aczkolwiek nie występująca masowo, zachodziła dość często.

W majątku Głębokie, pow. Gniezno, likwidator (krewny b. właściciela), działał tak, by chłopcy rezygnowali z należnej im ziemi. W majątku Głuchowo, powiat Kościan — b. właścicielka, hr. Zółtowska jeszcze w czerwcu przebywała w majątku. W majątku Widziszewo, pow. Kościan, b. właścicielka — Niemka Seuffleben wyjechała dopiero w końcu maja 1945 roku. Faktów takich można by przytoczyć więcej.

Po przejęciu majątku i usunięciu dawnych właścicieli, należało na wspólnym zebraniu ustalić listę uprawnionych do nadziału. Lista ta była podstawą do rozdziału gruntów. Nie przekraczano na ogół granicy 7 hektarów. Jeżeli jednak uprawnionych było wielu, w niektórych przypadkach mogło w majątku ziemi nie wystarczyć. W tej sytuacji albo obniżono wielkość działki, albo też skierowywano niektóre rodziny do innych majątków.

Bardzo ważnym aktem politycznym było rozparcelowanie w kwietniu 1945 roku w powiecie Nowy Tomysł majątku generała Sosnkowskiego. Majątki Radziwiłłów, Hutten-Czapskich, Czartoryskich, Tyszkiewiczów i innych także przeszły w ręce chłopów i robotników rolnych.

Raz na zawsze został zlikwidowany wyzysk obszarniczy.

W salach CBWA czynna jest wystawa plakatów z okazji XX-lecia PPR, nadesłanych na rozwiązanie niedawno konkursu. Na zdjęciu — jeden z wystawianych plakatów.

Droga

Drzeworyt
Edmunda
Piotrowskiego

Praca eksponowana na wystawie „Polskie dzieło plastyczne w XV-lecie PRL — Grafika”.



Jest taka ustawa

Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. Siedziała z opuszczonymi oczami w kącie pokoju, czekając, aż wyjdą interesanci. Na pytanie: „Pani w jakiej sprawie?” odpowiedziała cicho, nie podnosząc wzroku: „Ja w sprawie tatusia...”

Sprawa banalna. Ojciec pije. Nie oddaje pieniędzy w domu. Awantury. Sąsiad doniósł. Milicja. Komisja lekarska. Sąd. Przymusowe leczenie w Kościanie. Rodzina bez środków do życia. Sprawa banalna, jedna z wielu.

A przecież jest ustawa uchwalona przez Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej 10. XII. 1959 r., wydrukowana w Dzienniku Ustaw, podpisana przez Przewodniczącego Rady Państwa i Sekretarza tejże Rady. Wydawałoby się, że akt tego rodzaju powinien, więcej — musi być przestrzegany.

Tak, ustawa antyalkoholowa jest przestrzegana. Ale prawie wyłącznie w tych przypadkach, gdzie w grę wchodzi skutki. A jak działa w praktyce ta obszerniejsza zresztą część ustawy, która mówi o obowiązku zwalczania przyczyn oraz łagodzenia skutków alkoholizmu?

Teoria a praktyka

Zacznijmy od sprawy najważniejszej. Otóż art. 11 ustawy nakłada na rady narodowe obowiązek przeznaczania co najmniej 10 procent kwot uzyskiwanych z dopłat

do cen napojów alkoholowych — na cele walki z alkoholizmem. Żartownisie uśmiechną się: he-he, im większe picie, tym większa z nim walka. Ale niby dlaczego kosztami zwalczania alkoholizmu nie obarczać właśnie pijących? Polacy wypić lubią, lepszy więc rydz niż nic — i właśnie tego „rydza” gwarantuje ustawa.

Krzysztof Monikowski

Gospodarność przez okulary krótkowidza

Sedno w tym, że w praktyce ów rydz przeobraża się w maciupciego muchomorka, który nie zaszkodzi na wet musze, a co dopiero tak groźnemu zjawisku, jakim jest alkoholizm.

Oto bowiem aż 6 prezydów powiatowych rad narodowych naszego województwa (Gniezno, Ostrow, Poznań, Słupca i Wągrowiec) nie zadeklarowało w ub. roku ani grosza na zwalczanie alkoholizmu, choć inkasują one grube, często przekraczające milion zł rocznie, kwoty z wódczanych dopłat. Nie tylko dla tych 6 prezydów PRN ustawa jest papierkiem bez pokrycia. Jest bowiem wiele rad, które, owszem — zade-

klarowały owe 10 proc., lecz uczyniły to najwidoczniej na odczepne, dla świętego spokoju. Jakże inaczej wytłumaczyć fakt, iż: Prezydium PRN w Wolsztynie wpłaciło w 3 kwartałach ubr. 1/4 proc. zadeklarowanej obowiązkowo na rok 1961 kwoty, Prezydium MRN w Lesznie — 1/3 proc., MRN w Gnieźnie — 2/3 proc., a PRN w Środzie — „aż” 1 procent? Mimo że ustawa mówi wyraźnie: zabracie na wódcę, musicie płacić minimum 10 proc. Dziesięć, a więc nie zero, ćwierć czy ileś tam.

Ustawa (art. 10) mówi również wyraźnie: walkę z alkoholizmem na swoim terenie zobowiązane są prowadzić rady narodowe. Cóż — kiedy np. PRN w Chodzieży nie daje ani grosza, argumentując, że w ich powiecie nie ma... Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego. W całym województwie jedynie kilka rad narodowych (w tym RN m. Poznania) przestrzega postanowień ustawy. Nic więc dziwnego, że jej działanie w zakresie zwalczania przyczyn i łagodzenia skutków alkoholizmu jest porażone w punkcie najbardziej newralgicznym, decydującym.

Przeciwdziałanie i opieka

Nie czarujmy się bowiem. By w miarę skutecznie przeciwdziałać pijanństwu, trzeba mieć na to środki. Nie wystarczy rozlepienie afiszów z napisem „Wódka — Twój wróg!” („he-he, wroga trzeba łapać w mordę”) — mówią nie tylko złośliwcy, czy wygłaszanie pogadek o szkodliwości alkoholu (o tym przeważnie wie każdy pijak). Społeczne komitety przeciwalkoholowe nie porzuciły więc na akcję propagandowej i uświadamiającej. Pomagają w leczeniu alkoholików (np. w utworzeniu zakładu leczniczego w Zimnej Wodzie pow. Gostyni, który „ruszy” lada dzień).

Pomagają w działalności tych instytucji, które odciągają — szczególnie młodzież — od wódki, jak np. kluby kulturalne, zespoły artystyczne i sportowe. Wiadomo, jak często młodzież styka się z wódką tylko dlatego, że nie wie jak spędzić wolny czas. Komitety te noszą wreszcie doraźną pomoc najbardziej poszkodowanym, to znaczy rodzinom alkoholików: organizują kolonie i wczasy dla tych rodzin, dożywają je, kupują im odzież, obuwie, książki szkolne. Nie trzeba tłumaczyć, że dla prowadzenia tego rodzaju działalności nie wystarczą dobre chęci — potrzeba pieniędzy. I źródło takich funduszy przewidziała ustawa, właśnie w tych 10 procentach. Niestety, ustawa swoje, a rady narodowe swoje.

„Mamy inne potrzeby...”

Gdyby spytać, dlaczego tak się dzieje, usłyszycie niejednokrotnie argumenty wcale niebłahę: „Mielśmy do wyboru — albo ukończyć remont szpitala, albo dać na walkę z alkoholizmem. Wiedzieliśmy, że szpital był nam potrzebny...” Dobrze — zatrzymajmy się

Stanisław Kamiński

ostatnia NOC

(Opowiadanie)

W połowie sierpnia wyjechałem na wieś. Ścisłej rzecz biorąc — do lasu. Znajomy leśnik zapraszał mnie już od dawna do swojej — jak mawiał — kryjówki. Nęcił polowaniem, kąpielą w pobliskim jeziorze, grzybami i kojącą ciszą lasu.

Pojechałem bez uprzedniego zawiadomienia. Z maleńkiej stacyjki kolei wąskotorowej w Jabłonce, gdzie wiadrami nalewa się wodę do staroświeckiego samowarka, poszedłem drogą nad jeziorem do wsi. Zmierzchało. Zachodzące słońce, czerwone tego dnia nadzwyczaj, rzucało na spokojną, ton jeziora krwistą poświatę. Woda była cicha. Marszczyły ją tylko gdzieś niedaleko pluskające pod wierzchem ryby. Rozszerzające się kręgi delikatnych fal nikły szybko, stając się z lustrem wody.

Rybacy siedzieli przy brzegu jeziora na urwistych skarpach, albo stali po kolana w wodzie, trzymając cierpliwie długie wędziska. Pod lasem w oddali majaczyła ciemna sylwetka łodzi skrytej w nadbrzeżnej trzcinie.

W gajówce, do której dotarłem ścieżką wśród lasu, nie było nikogo. Po godzinie może przyszła ze wsi stara, przyglucha babina, matka leśnika. Z trudem wytłumaczyłem jej kim jestem i co mnie do leśniczówki sprowadza. Staruszka okazała się rozmowna i życzliwa. Powiedziała mi, że syn z całą rodziną pojechał rano na wesele, gdzieś aż za Konin i nie powróci wcześniej niż za dwa dni.

Poczęstowała mnie kwaśnym mlekiem i pachnącym wiejskim chlebem i, z uporem wmawiając zmęczenie podróży, zaprowadziła do małego pokoiku na poddaszu leśniczówki na nocleg. W facyjce pachniały zające się jabłka i grzyby. I świeża świeżość. A może jeden tylko świerszcz? Nie mogłem w żaden sposób dojść skąd dobiega jego zwodnicza muzyka.

Nazajutrz obudziłem się późno. Słońce wyszło już dobrze ponad las. Na suche poszycie, szarzące od sierpniowych upałów, wysokie masłowe sosny rzucały migolliwą plątaninę cieni. Do południa przesiedziałem w leśniczówce, gawędząc z matką leśnika. Stara lubowała się wspomnieniami swoich panińskich lat. Po obiedzie zabrałem plecak i wyciągnąwszy sobie krzeszynowy kosturek ruszyłem w las. Bez celu żadnego właściwie.

Od gajówki prowadziłem na północ dukt sośnowym lasem, przelazłem już setnie, widać przed laty. Drzewa były tam krępe, o rozłożystych koronach, oblepione suchymi gułami. Dołem rósł wysoki zbit jak dywan jagodnik. Później ciągnęły się bez końca kwartały młodszych sosen, zagajników, łysiny poręb i polany zarosłe suchą miecią.

Ze wzgórze, na które dotarłem, gdy słońce było już nisko, ujrzałem w oddali wystające spośród gęstej czupryny lasu dwie smukłe wieżycy. Kościelne chyba, bo zakończone krzyżami. Poszedłem dalej w tym kierunku. Nie za drogą już, ale wprost na przelaj. Teren opadał. Zaczynały się chęchy jakieś dzikie, oczerefy. Coraz częściej w podmokłych chaszczach napotykała się ciemna olcha. Z jakiegoś małego smugu, spod nogi mi prawie, poderwało się stadko spłoszonych kłapaków i z furgotem poszło w szuwały.

Zapadał szybki letni mrok, gdy wstąpiłem w dolinę, która jak niecka leżała pośród lasu. W środku doliny płoń niewielki ogień. Udałem się w jego kie-

Ciąg dalszy na str. 3

Bogusław Kogut

Sentiment sponiewierany

O „Pieśni o Rolandzie” i Durandela zaczynała się ta miłość nie tylko do literatury francuskiej, ale samej Francji, do wszystkiego, co francuskie. Czegoż bowiem w tej miłości (albo flircie?) nie było — i Chopin w No-hant, i Mickiewicz w Paryżu (ten żywy i ten rzeźbiony, stojący do dziś), całe nasze wolne życie umysłowe po rozbiorach, Stowacki, Norwid i mniejsi emigranci. Napoleon I miał nam odbudować Polskę, według jednych — dzięki pani Walewskiej, według innych — dzięki liczny Somossierrom. Nie sposób zresztą wyliczać wszystkie te związki, poszczególne etapy flirtu — ale to fakt, że jeszcze moje pokolenie chętnie mówiło o dwóch siostrach (Polska i Francja), nazywało siebie „Francuzami północy”, wdychało: „Zobaczyć Paryż i umrzeć”.

Gdzie i kiedy zaczęły się pierwsze rozczarowania? W 39 roku, kiedy to Francuzi, wypowiedziawszy formalnie wojnę Hitlerowi, nie ruszyli na linię Zygrydy? W czterdziestym, kiedy to „la douce France” rozpadła się smrotnie i jeszcze szybciej niż zdradzona przez wodzów i przez sojuszników Polska? Wojna w Indochinach — to było bardzo daleko. Wojna w Algierii — to bliżej, ale to też wielu spośród miłośników Francji widziało i przyjmowało po swojemu, z odrobiną sceptycyzmu i dużą dozą starych sentymentów. „Francja broni swej wielkości” — mówił lub myślał niejeden „Francuz północy” — „po co Algierii zaraz połowa Afryki. A z tym faszyzmem chyba lekka przesada”.

De Gaulle opowiedział się za uznaniem Odry — Nysy i stare, wiekowe sentymenty znowu zyskały na sile. A tymczasem tenże de Gaulle z uporem maniakalnym rozbił bomby atomowe na Saharze, a w sprawie Berlina bardzo gorliwie wyręcza Adenauera. Algierczycy giną zarówno z rąk ultraradykalistów jak i z rąk republikańskiej policji, republikańskiego kata. Sekwana wyrzuca na brzeg zmasakrowane zwłoki patriotów algierskich, a Salan poczyniła sobie śmiecie, niż sam „twardy” de Gaulle. Bomby u Bardotki i u Sartre’a, u kombatanów ruchu oporu i u komunistów, ostrze liwanie (bezkarne) lokalni organizacje i instytucje mniej czy więcej antyfaszystowskie — terror, terror i jeszcze raz terror. Coraz trudniej jest godzić to wszystko ze sta-

rymi sentymentami, mówić o „obrobie wielkości”, o propagandzie. „Francuzi północy” milkną i coraz częściej odwracają oczy. Już nikt nie próbuje przeczytać temu, że to faszyzm, atakujący niby z podziemia i z „opozycji” ale w gruncie rzeczy dawno zajęły w armii, w administracji, w aparacie państwowym.

Faszyzm — to dla Europejczyka, szczególnie dla Polaka, straszne słowo. Ale chowanie głowy w piasek nic nie pomoże. Jeśli dziewczyna algierska umiera na torturach (a sąd, republikański przecie, niewinność oprawców), to nie ma co mówić, że to średniowiecze.

W średniowieczu nie rażono elektrycznym prądem narzędzi piciowych palonych czarownic. To są metody z Alei Szucha. Jeśli Jean

Paul Sartre (nie komunista przecież) widzi się zmuszony emigrować do Rzymu ze swoimi „Les Temps Modernes”, to pora najwyższa przestać oszukiwać się francuską „liberté”.

Polski inteligent „przedwojennej daty”, który w przedwojennym gimnazjum wychowywany był w kulcie Napoleona i Marysieńki, pani Sand i pani Hańskiej, ten polski nieśczęśny „Francuz północy” — przeżywa dramat i upadek Francji jak dramat niemal osobisty. Trudno mu pogodzić się z tym upadkiem wypieszczonych ideałów, trudno mu uwierzyć, że cień, który czai się nad Luwrem i Notre Dame, nad Mont Parnasse i Polami Elizejskimi, jest cieniem „fascies”. I temu nawet trudno się dziwić.

Wydaje mi się jednak, że „Francuzi północy” trochę za mało wiedzą i rozumieją z tego, czym jest współczesna Francja. Mamy dużo informacji i mało analizy tych zjawisk. Wiemy — co się dzieje, nie bardzo wiemy — dlaczego. Słowem, przydałoby się w publicystyce (nie tylko prasowej) trochę historycznej analizy procesów, które rodzą tę rzeczywistość. Czy to przypadek, że akurat we Francji usytuowanej między frankistowską Hiszpanią, zbudowaną na gruzach hiszpańskiej republiki — a adenauerowską NRF, coraz jawniej gromadzącą pohitlerowskie relikwie — faszyzm odradza się w takiej postaci? Chyba jednak nie. Nad wytłumaczeniem swoistej prawidłowości tego procesu warto byłoby się poważnie pogłębować. Nie tylko ze zwykłej ciekawości.

Jest taka ustawa

Dokończenie ze str. 1

na chwilę przy argumentach gospodarności.

Nikt nie zaprzeczy, że potrzeb pilnych i ważnych jest wiele w każdym powiecie. Ale — czy będzie to tylko przypadek, gdy w najbliższej przyszłości ów nowo wyremontowany szpital zacznie zapelniać się ofiara-

mi skutków pijaństwa? Czy tylko przypadek sprawił, że trzeba uruchamiać zakład leczniczy w Zimnej Wodzie? Idźmy dalej i pytajmy, czy obliczono kiedykolwiek w owych radach, ile powiaty tracą złotych w wyniku rozbitych „pod gazem” samochodów? Ile złotych musi wypłacać PZU? Jak wygląda wydajność pracy po świętach tych dniach wypoczynku, które jakże często są u nas dniami alkoholowego zmęczenia? Ile wówczas zdarza się niebezpiecznych wypadków? Jaka jest absencja? Tych wszystkich strat nikt nie oblicza.

Rozumiemy: gospodarność, cecha godna szacunek. Tylko czy gospodarność za cenę przymykania oczu na tak ważny problem społeczny jakim jest u nas alkoholizm, z drugiej znowu strony za cenę — powiedz my otwarcie — sabotowania ustawy, nie jest gospodarnością krótkowzroczną, a więc fałszywą?

Nie wystarczy ustawa i ponaglenia

Nie trzeba zresztą tłumaczyć, że problem ma znaczenie o wiele szersze niż czysto gospodarcze. Zaoszczędzimy sobie opisów tragedii, które rozgrywają się w każdej miejscowości na tym tle. Wszyscy znają to z gazet i kronik sądowych: mordostwo, bójka, katastrofa, znechanie się nad rodziną, wypaczenie charakterów, niszczenie zdrowia. Tragedie tak częste, że już banalne; nie wy-

roku 1946 Polska miała 22 mln. ludności, dziś liczy 30 mln., za lat 10 będzie nas prawdopodobnie 35 mln. W roku 1946 gospodarka narodowa zatrudniała 2,5 mln. osób, dziś zatrudnia 8 mln., a wkrótce będzie musiała wchłonąć cały wyz dziecięcy, który dziś przemieszcza się powoli ze szkół podstawowych do średnich i zawodowych, a jutro zapuka do bram fabryk bądź wyższych uczelni.

Jednocześnie, w szybkim tempie zmienia się oblicze kraju, zmienia się gospodarka stojąca w przededniu nowej rewolucji przemysłowej — automatyzacji. Tam, gdzie wczoraj wystarczyły 3 klasy szkoły podstawowej, dziś potrzeba co najmniej ukończonej średniej. Po wstają nowe, nieznane przedtem gałęzie produkcji, zanikają jedne zawody, powstają inne. Czy obecny sposób przygotowywania i doboru kadr do poszczególnych gałęzi produkcji, zawodów i funkcji jest właściwy? Czy nie stanie się on wkrótce hamulcem w doganianiu produjących krajów świata?

Ostatnio coraz częściej u nas mówi się o tym, że nie sposób racjonalnie „gospodarzyć zasobami ludzkimi” bez pomocy psychologii. Doświadczenia innych to potwierdzają.

W USA na przykład psycholog towarzyszy ludziom od ich lat najmłodszych. *) Jego praca rozpoczyna się od rozpoznawania uzdolnień przy szłego pracownika już w szkole średniej. Znani ze zmysłu praktyczności Amerykanie doszli do wniosku, że to nie żaden interes dla kraju, gdy młodzi obywatele zapisują się na różne typy uczelni pod wpływem mody, impulsu czy czegoś tam jeszcze, a potem odpadają lub całe życie zgorzkniali pracują w zawodzie, do którego w gruncie rzeczy nie mają serca. Tacy ludzie rzadko kiedy czegoś w życiu dokonają.

Celem zrozumienia motywów działania

W 1959 r., w ramach programu badawczego zwanego „Projekt Talent”, przebadano specjalnym zestawem testów co dwudzieste dzie-

*) Z referatu profesora psychologii Columbia University dr. D. E. Super’a gościa i konsultanta naukowego Pracowni Psychometrycznej PAN, bawiącego w listopadzie 1960 r. w Warszawie.

wolują wstrząsu, chyba że dotyczy nas samych i naszych najbliższych. Bo lekceważący stosunek wobec kłopotów pijaństwa nie ogranicza się bynajmniej do rad narodowych. Tu jednak jest punkt węzłowy. Stwierdzono to ponad wszelką wątpliwość w niedawnych dyskusjach sejmowych, poświęconych omówieniu realizacji tejże ustawy. Wielkopolska nie jest wyjątkiem, więcej — na naszym podwórku realizacja ustawy antyalkoholowej wygląda lepiej, niż gdzie indziej. Zdłuda to jednak pociecha w świetle przytoczonych faktów. I dlatego uważamy za swój obowiązek powiedzieć radom narodowym nasze go województwa: skończmy z lekceważeniem i krótkowidzstwem! Skoro zaś nie pomagają pisma, i ponaglenia z Prezydium WRN, trzeba by pomyśleć o zwołaniu specjalnej sesji WRN, poświęconej omówieniu tego problemu. W sesji takiej powinny wziąć udział instytucje i ludzie zainteresowani sprawą: Społeczne Komitety Przeciwalcoholowe, przedstawiciele sądów, MO, lekarze.

Sama ustawa także domaga się nowelizacji. Do tej pory bowiem owe 10 proc. pozostawia ona w budżetach rad narodowych, zamiast zobowiązać je do utworzenia osobnego nienaruszalnego na inne cele konta.

Praktyka wykazuje, że w tych powiatach, w których art. 11 ustawy jest przestrzegany, są piękne wyniki. Ale o tym już przy następnej okazji.

KRZYSZTOF MONIKOWSKI

ko w szkołach średnich USA, a 500 tysięcy przebadanych chłopców i dziewcząt będzie obserwowanych przez 20 lat życia i kariery zawodowej po to, by instytuty naukowe miały pełniejszy obraz stanu uzdolnień i zainteresowań dzisiejszej młodzieży.

Wielkie koncerny przemysłowe, zatrudniające setki tysięcy pracowników i toczące długotrwałe boje z konkurencją, roz-

syłają po kraju psychologów z zadaniem „wyławiania młodych talentów”. Biorą je późnie na swój „garnuszek”, kierując do najlepszych szkół inżynierskich udzielając stypendiów, wysyłając za granicę na praktyki itd., a potem wykorzystują

w swoich laboratoriach i biurach konstrukcyjnych. I to im się sowsie opłaci.

Do rozpoznawania uzdolnień stosuje się najczęściej metodę testową, dla każdej grupy zawodów inną. Poznaje się w ten sposób nie tylko wyobraźnię przestrzenną badanego człowieka (niezwykle ważne przy zawodach technicznych), zręczność rąk (ważne w zawodach mechanicznej precyzji), wrażliwość smaku i powonienia, ostrość wzroku, szybkość reakcji w określonych sytuacjach itd., lecz także zakres zainteresowań, potrzeb, wiadomości i umiejętności badanych, co pozwala na wnikięcie w strukturę umysłu i osobowości człowieka oraz daje lepsze zrozumienie motywów jego działania.

Nie zawsze decyduje świadectwo

Psychologowie przekonali się przy okazji, że nie zawsze najzdolniejszy jest ten, kto wyniósł najlepsze świadectwo ze szkoły. Egzaminy szkolne i uzyskane stopnie są bardzo często dziełem przypadku, swoistym „totolotkiem”, a nie miernikiem rzeczywistych uzdolnień ucznia. W amerykańskich biurach pracy używa się więc tzw. „testów wiadomości”, w których czynniki losowe i stronniczość egzaminatorów są całkowicie wyeliminowane, podobnie zresztą jak atmosfera nerwowego napięcia i lęku towarzysząca zazwyczaj egzaminom szkolnym.

Przydatność badań i porad psychologicznych przy wyborze zawodu potwierdzają także doświadczenia angielskie. Obserwacja eksperymentalnej grupy chłopców i dziewcząt, która na krótko przed wojną, w wieku 15 lat opuściła mury szkolne wykazała, że dzieci korzystające z testowych porad psychologów przy wyborze zawodu, rzadziej zmieniały pracę, były bardziej w niej zadowolone, były lepszymi pracownikami, uzyskiwały wyższe płace i szybciej awansowały niż chłopcy i dziewczęta nie poddawane badaniom testowym.

By praca sprawiała radość

Naturalnie nie może tu być wątpliwości co do pobudek, które stały się przyczyną na tak szeroką skalę prowadzonych badań. Po prostu, ekonomiści burżuazyjni przekonali właścicieli przedsiębiorstw, że to leży w ich interesie, że właściwy człowiek na właściwym miejscu daje większą, lepszą i tańszą produkcję, że przynosi większy zysk.

Jeśli więc tam, na Zachodzie, wydatki na badania psychologiczne przy noszą zysk, to dlaczego nie powinniśmy na jeszcze szerszą skalę zastosować ich u nas? Oczywiście nasze motywy są inne. Nam nie chodzi przecież w ostatecznym rachunku tylko o złotówkę, lecz także o to, by człowiek czuł się w procesie produkcji dobrze, żeby praca sprawiała mu radość, dawała zadowolenie.

Ilustr. — Ewa Pruska

Stypendia fundowane

— jak je widzę

Powiedział to właśnie tak: „sprzedałem się w ciemno, nie wiedziałem komu”. Przy pominaniu mu, że przecież nikt go nie zmuszał, nikt także nie zabraniał za poznać się z warunkami przyszłej pracy, przeciwnie — zachęcano go do tego. Lecz on pod nosem mamrotał swoje: „sprzedałem się w ciemno, co teraz zrobię, tutaj nie zostaną choćbym miał skończyć”.

Janusz Biniek

CZYSZTE NIEBO

Grzegorz Czuchraj, najwybitniejszy obecnie twórca kinematografii radzieckiej, bardzo szybko wszedł do czołówki światowej. Jest twórcą młodym, bo dopiero po wojnie rozpoczął studia filmowe. Ale już jego pierwszy samodzielny film („Czterdzieści pierwszy”) odbił się głośnym echem na całym świecie, przynosząc Czuchrajowi wyróżnienie na festiwalu w Cannes w roku 1957. Nazwisko 40-letniego, wybitnie uzdolnionego artysty stało się rychło symbolem młodego, ożywczego nurtu kinematografii ZSRR. Potem przyszła „Ballada o żołnierzu”, dzieło już w pełni dojrzałe i kilkanaście nagród, wśród nich — Nagroda Leninowska. Obecnie na nasze ekrany weszło „Czyste niebo”, laureat zeszłorocznego festiwalu w Moskwie.

Tylko niezmiennie rzadko można spotkać się z filmem, tak silnie zaangażowanym politycznie, moralnie. Łotnik, który dostał się do niemieckiej niewoli, jest po powrocie otoczony nieufnością i podejrzewany o zdradę. Rzuca pracę, zaczyna pić. Dopiero po śmierci Stalina kończy się tragedia Aleksieja Astachowa; wraca z Moskwy ze zwróconą mu Złotą Gwiazdą Bohatera ZSRR.

Czuchraj bynajmniej nie ukrywa wymiaru tragedii: Astachow, choć wykluczony z partii, czuje się w dalszym ciągu komunistą. „Jestem człowiekiem — krzyczy — i potrzebna jest mi prawda!” Prawdę dziś znamy wszyscy. W jednej ze scen filmu widzimy salę posiedzeń, nad którą dominuje nieruchomy posąg Stalina. Byłoby jednak nieporozumieniem, gdyby patrzeć na wartości jego filmu wyłącznie pod kątem „obrachunku z przeszłością”. „Czyste niebo” — to przede wszystkim wyznawanie wiary w człowieka, w słusność i niezniszczalność ideowej postawy, choć na ten temat nie pada ani jedno wielkie słowo. Takim właśnie człowiekiem, który nie ugnie się, nie zrezygnuje ze swych przekonań i swej godności komunisty — jest Astachow. I tylko u kiegoś

Mieczysław Skąpski

Przedatem cię w ciemno

O stypendiach fundowanych było swego czasu głośno. Szczególnie prasa młodzieżowa i studencka wiele o nich rozprawiała. Teraz sprawa przycichła. Odzywa się natomiast skądinąd — z terenu, z zakładów pracy. Bowiem sam problem w pełni nabiera aktualności wówczas, gdy tysiące absolwentów szkół wyższych korzystających ze stypendiów fundowanych zapukają do drzwi fundatorów zgłaszając się do pracy. W poprzednich latach o stypendiach wiele się mówiło, samych jednak stypendiów było nie

wiele. Dziś odwrotnie: mówi się mało, a stypendia syją się jak z rogu obfitości.

W woj. poznańskim przełomowy był rok ubiegły. Zgłoszono na bieżący rok szkolny 406 stypendiów fundowanych (na 465 zaplanowanych) i to tylko z rad narodowych i podległych im zakładów, z czego wykorzystano 356. Na resztę nie było amatorów. Ale poprzedniego roku planowano 267 stypendiów, a zgłoszono jedynie 80. Więc mamy do czynienia z wzrostem 5-krotnym z roku na rok.

Ten stypendialny róg obfitości wykazuje bardzo charakterystyczne tendencje. Najwięcej stypendiów ufundowano na kierunkach technicznych, rolniczych i ekonomicznych. Dla ekonomistów ufundowano tyle stypendiów, że poznańska WSE nie była w stanie ich wchłoniąć i sporą liczbę trzeba było przekazać WSE w Krakowie.

Kto za — kto przeciw

Ekonomiści nie mają trudności w znalezieniu pracy po studiach, nie wykazują też skłonności do wiania się z góry z zakładem pracy już podczas studiów, a zwłaszcza na samym ich początku. Dlatego spoglądając na drugą stronę medalu — stosunek do stypendiów młodzieży akademickiej — widać największe zainteresowanie stypendiami ze strony przyszłych lekarzy, farmaceutów, rolników oraz prawników. Najmniejsze natomiast — techników i ekonomistów, bo ci i tak znajdują zatrudnienie, zachowując istotną dla każdego wolność wyboru pracodawcy.

Wracając jeszcze do ekonomistów trzeba dodać, że mocno „zamieszali” tu sąsiednie województwa oraz inne resorty, które też ufundowały sporo stypendiów, i niejednokrotnie skutecznie konkurowały z propozycjami zgłoszonymi przez prezydium rad narodowych woj. poznańskiego i zakłady im podległe. Jest natomiast wielką zasługą Prezydium WRN w Poznaniu, a specjalnie Wydziału Zatrudnienia, że potrafiły znaleźć pokrycie dla tak dużej liczby stypendiów. Przekonanie prezydium PRN i terenowych przedsiębiorstw do fundowania stypendiów stanowi oczywiście osobny powód do dumy dla Prezydium WRN.

Nie wszystkie jednak rejony naszego województwa potraktowały sprawę jednakowo poważnie. Wyróżnić należy Ostrzeszów, Kalisz i powiat kaliski, Konin, Wrześnię, Ostrów i powiat ostrowski. Najmniej natomiast inicjatywy wykazały powiaty: Gnieźno, Poznań, Środa, Międzybóże i Sępólno.

Niejednokrotnie działacze terenowi twierdzą, że nie mogą znaleźć

amatorów na stypendia, gdyż oferują im miejscowości nieatrakcyjne, małe, jak się to mówi „zabite deskami”. Tym można przeciwstawić przykład Ostrzeszowa, powiatu przecież niebogatego i nie najbar dziej atrakcyjnego, który potrafił ufundować aż 32 stypendia i, co ważniejsze, znaleźć dla nich chętnych.

Ciucubabka do kwadratu

Absolwenci czasem narzekają, że „sprzedali się w ciemno”. Dotyczy to także fundatorów, którzy z kolei — kupując w ciemno. Zarówno bowiem nawiązanie kontaktu, jak i podpisanie umowy odbywa się korespondencyjnie. Student nie ogląda swego przyszłego miejsca pracy, kierownik zakładu — swego przyszłego pracownika. Nieco dziwna jest ta beztroška obu zainteresowanych stron. Władze powiatowe przy tym postępują tu wbrew wyraźnym zaleceniom Prezydium WRN, zgodnie z którymi powinny odbywać spotkania ze studentami korzystającymi ze stypendiów fundowanych przez dany powiat. Jak dotąd żaden powiat takiego spotkania nie zorganizował.

Zakłady — fundatorzy najchętniej widzieliby zawieranie umów stypendialnych ze studentami pochodzącymi z danego powiatu (kwestia mieszkania, znajomości terenu). Niestety, poznańskie wyższe uczelnie nie przekazywały radom narodowym i zakładom pracy wykazów swoich studentów pochodzących z poszczególnych powiatów. Zrobiły to natomiast wyższe szkoły rolnicze — Wrocławia i Szczecina oraz inne uczelnie pozapoznańskie.

Jest więc wiele spraw w tej dziedzinie wymagających poprawy, albo też po prostu wyjaśnienia. Choćby sprawa mieszkania dla absolwenta. Instrukcje mówią, że zakład powinien zapewnić mieszkanie. Ale kiedy? Czy natychmiast? I jakie? Czy na przykład wskazanie pokoju sublokatorskiego przy rodzinie jest zapewnieniem mieszkania samotnemu? Absolwent twierdzi, że nie, a zakład — że tak.

W poszukiwaniu recepty

Zauważmy, że wielka akcja fundowania stypendiów przez pracodawców dopiero się rozkręca. Ubiegłoroczny przełom w akcji fundowania stypendiów da o sobie znać za kilka lat, gdy absolwenci zgłoszą się do pracy. Do tego czasu trzeba wiele spraw uregulować. W tej też myśli Prezydium WRN organizuje w lutym kilka narad z młodzieżą akademicką korzystającą ze stypendiów fundowanych. Będzie to pierwszy generalny kontakt fundatora z fundowanym. Przedstawi się tam studentom, czego się od nich oczekuje. Głównie jednak chodzi o to, by studenci wypowiedzieli się jakie mają postulaty pod adresem przyszłych pracodawców, jakie mają pretensje do całego systemu stypendiów fundowanych, w jaki sposób chcieliby być wciągani w sprawy swojego przyszłego miejsca pracy. Być może, z tych narad wyklucze się recepta na uleczenie istniejących bolączek. Bardzo jest ona potrzebna.

Ostatnia Noc

Ciąg dalszy ze str. 2

runku. Ścieżka grząska choć sucha i liczne obok niej doły, wypełnione czarną jak smoła wodą, dały mi poznać torfowisko.

Ziemia tłumiła kroki. Opodał ciemniejących prosioków torfianek, pod samą nogą, rozłożył się osną płonęła ognisko. Wąły ogień oświecał ledwie sylwetkę siedzącego przy nim człowieka. Przystanęłam na chwilę nie zdecydowany. Podeszść, nie podeszść? Uprzytomniłem sobie jednak, że na powrót do leśniczówki za późno już przecież, a do najbliższej wioski drogi też nie znam. Więc tak czy inaczej przyjdzie mi zanoćować w lesie. Ogarnęła mnie lędy nieodparła chęć rozmowy z tym człowiekiem. Chrzęknęłam głośno i ruszyłam ku niemu.

Nieznamy odwrócił się w moją stronę i zapytał: — Kto tam idzie? — Kozarnął parykiem spopielale głównie w ognisku i przysiadając oczy ręką po parzył w mrok.

— Podróżny — powiedziałem dochodząc do ogniska.

Podróżny — powtórzył mężczyzna bezbarwnym głosem i po chwili dodał zachęcająco: — To siadajcie, jak wam nie spieszno. Przy ogniu można się ogrzać...

Dorzuć do ogniska suchych gałęzi, które liznął najpierw niesmialo niebieskawy ogień, a potem zajął jasny wysoki promień. W świetle urządził dobre łóżko człowieka. Był niemłody. Miał żywe małe oczy, które dziwnie nie pasowały do surowej, pociętej zmarszczkami twarzy.

Zbiadziłem — powiedziałem, aby podziwiać rozmowę. — Zaczęliście ogień i przysiedliście. Nocą niebezpiecznie śyć, jak się drogi nie zna. Można się skępać w dołach... Torf widać kopać! Pijnucie pewnie tutaj?

— Skępać — podchwycił. — I przepaść całkiem nieudolno. Krzycz cność najgłośniejszą, kto tu usłyszy? Usiądź, o ja jeszcze, ale jutro, pojutrze... śmierć jak amen w pacierzu.

— Głębokie te doły, czy też bagnisko takie?

— Głębokie. Cztery metry z okładem. Maszyną się torf wybierało. Przez dwadzieścia lat. Ile to tego poszło? A leżał ślus. Wszysko ma swój koniec. Tylko pamięć nie ma końca w człowieku...

Stary smętnie jakoś pokiwał głową. Zdawało mi się, że go doskonale zrozumiałem.

— Z tego chyba wynika, że waszą kopalnię zamykają? Pewnie, ludzie się przywykają do swej pracy, a nie będąc zapewne mieć kopalnię o robotę. W lesie, albo gdzieś w okolicy, zawsze się coś stosownego znajdzie.

Zmarliwieni. Do domu przychodzą, głowę suszą... Przyjdź tam, przyjdź sam... A ja tu już osiemnaście lat sirożuję. Teraz to i pójść, dosięgnąć mnie inni. Krzepy mi jeszcze wystarczy na lata. Ale przecież nie skoro odnudzic. Ostatnia noc dzisiaj...

— No to widocznie mam szczęście, bo jutro bym tu już nikogo nie zastał. Szczęśliwie się zdarzyło.

A no szczęśliwie. A i nieszczęście się tu zdarzały. Jakie nieszczęście. Kopalnia była kiedyś dworska, nrabiego. Chłopak się tu uioił. W trzydziestym siódmym na wiosnę. Nie był nic winien. Przyszli we dwóch do lasu. Ciągnęli sobie kawałek drewna. Hrabia najechał akurat na koniu z psami. Dwór sied kawałek tylko, za gorką. Hrabia poszczuł ich psami. Jeden uciekał w las, a drugi tu, na to bagno. Trawsko pływalo na wierzchu jak kozuch. Zglupiał chłopczyzna i przepadł... Ani śladu po nim do dziś dnia. Wścieka jaka to bieda tak dziecko utracić?

— Rozumiem... — podziwiałem głębokie współczucie, jakie malowało się w słowach tego człowieka.

Tego samego roku przyszedłem tu pierwszy raz. Wybierał tego torf bóg wie ile. Dół przy doła został. Torf był przedni, nie byle co. A z chłopaka nic, ani kosieczki się nie naszło... Teraz by miał akurat 32 lata... Raz to nawet wydostali z dołu kości. Wielkie nad podziw. Potem uczeni zabrali je gdzieś na wystawę. Miał to być kości jakiegoś dawnego zwierzęcia, mamusia. Sprzed tysiący lat podobno. A człowiek zagnął, jak kamień w wodę. Najprzykrzej pomyśleć, że z tym torfem go gdzieś po świecie porozwioła... Nieprawdaż?

W odpowiedzi pokiwał mi tylko głową w milczeniu. Dziwna wydawała mi się ta rozmowa, o dawnej przebołałej już zapewne przez rodziców zaginionego tragedii.

Spojrzałem na zegarek. Było późno. Przegadaliśmy ze stróżem dobre trzy

Feliks Fornalczyk

Z poznańskim teatrem w Brnie

(Wspomnienia z podróży)

Poznań gościł u siebie nieraz różne zespoły teatralne, z zagranicy, ale sam nie miał okazji występować przed zagraniczną publicznością. Wyjazd poznańskiego Teatru Polskiego połączony więc był ze zrozumiałą treścią.

Konfrontacja obaw z rzeczywistością przeszła jednak wszelkie oczekiwania. Nawiązanie serdecznych kontaktów i wspólnego języka przyszło o tyle łatwiej, że gospodarzy z Brna znaleźliśmy już z ich wizyty w Poznaniu oraz dlatego, że język czeski jest zrozumiały dla Polaków, a nasz dla Czechów.

Byłem z poznańskim teatrem w Czechosłowacji, widziałem, mogę więc powiedzieć, jak przyjmowano tam naszych artystów. Krótko mówiąc, przeszło to przyjęcie wszelkie marzenia. I to zarówno w samym Brnie, jak i podczas dwukrotnego wyjazdu w teren.

W Brnie pojawiliśmy się późnym wieczorem 17 stycznia. Powitali nas przedstawiciele brneńskiego teatru im. Mahena oraz Akademii

Wojskowej w Brnie, która objęła patronat nad naszym teatrem na okres pobytu w Czechosłowacji. Autokary odwoziły nas następnie do hotelu „Slovan”, na ulicę Lidická, przy której mieści się teatr im. Mahena.

Następnego dnia, 18 stycznia, przed południem próba aktorska i techniczna, a po południu pierwsze przedstawienie: „Potęga ciemnoty” Lwa Tolstoja. Spektakl ten był wystawiony w Brnie w nieco innej obsadzie niż w Poznaniu: w roli Nikity wystąpił Hieronim Konieczka, w roli Maryny Aleksandra Konieczka, w roli męża Maryny Stefan Posselt, a w roli Pierwszej Dziewczyny Bożena Janiszewska.

Tolstoj, który nie był grany w Czechosłowacji, wzbudził ogromne zainteresowanie publiczności i teatrologów. Sądząc z ich reakcji, przedstawienie Teatru Polskiego przyjęte zostało nadzwyczaj gorąco i ze zrozumieniem. Nieraz jeszcze potem, w trakcie rozmów z Czechami przy winie, wracaliśmy do tego spektaklu.

Sprawozdawca „Rudého Prava”, Bohumil Marčák, napisał o tym przedstawieniu, że reżyserowi Janowi Perzowi udało się uniknąć niebezpieczeństw, jakie nasuwa trudny tekst. Szczególne uznanie praskiego recenzenta zdobyły otwórczyńcze role żeńskie: Kazimiera Nogałówna jako Anisia oraz Wanda Elbińska jako Akulina.

19 stycznia przed południem przedstawiciele poznańskich władz, wiceprzewodnicząca Rady Narodowej m. Poznania Władysława Kła-

witer i kierownik wydziału propagandy Komitetu Wojewódzkiego partii Jan Bartkowiak, spotkali się z władzami wojewódzkimi Brna. Spotkanie to, jak i inne, późniejsze, miało na celu nawiązanie bliższych więzi między obu miastami targowymi i uzgodnienie szerszego zakresu współpracy Poznania i Brna.

W tym kierunku rozwijają ożywioną działalność nasi przedstawiciele dyplomatyczni w Czechosłowacji, zresztą nie bez skutku, o czym dowiedzieliśmy się bezpośrednio od attaché kulturalnego ambasady polskiej w Pradze oraz konsulów generalnych w Brnie i Morawskiej Ostrawie, którzy przyjechali specjalnie do Brna na przedstawienie poznańskiego Teatru Polskiego.

Po południu 19 została wystawiona na scenie teatru im. Mahena komedia Aleksandra Fredry „Śluby pannieńskie”. Widzom czeskim podobała się nowoczesna interpretacja klasycznej komedii, wdzięk aktorów, jakaś iskra francuska lekkość i jasność całego spektaklu, nie też dziwne, że perypetie komedii Fredry były przyjmowane niezwykle żywo i gorąco.

Okazało się to zwłaszcza najzajrzej, w powiatowym mieście Prostějov, położonego o 55 kilometrów od Brna, na Morawach. Przyjęcie, jakiego doznaliśmy w tym mieście przemysłu odzieżowego i maszyn rolniczych, przeszło bowiem wszystkie inne.

Zwiedziliśmy tam wspaniałe, nowoczesne zakłady odzieżowe, które — chociaż jeszcze nie ukończone —

zatrudniają już przeszło trzy tysiące pracowników, w decydującej większości kobiety. Obejrzelismy specjalnie dla nas zorganizowany przegląd modeli okryć damskich i męskich, produkowanych przez zakłady, które zresztą są wystawcami na poznańskich Targach Międzynarodowych. Dowiedzieliśmy się, że w tymże samym Prostějovie, mieście rodzinnym wybitnego poety Jiřego Wolkeera odbywa się corocznie, w maju, ogólnoczechosłowacki festiwal poetycki, tyle że bohaterami tego festiwalu nie są poeci, lecz recytatorzy.

Prostějov ma piękny budynek teatru, mimo że nie ma stałej sceny. Przyjeżdżają więc tam z gościnnymi występami teatry z różnych stron Czechosłowacji, nie więc dziwnego, że przyjazd teatru polskiego był dla mieszkańców Prostějova dużym wydarzeniem. Sądząc, że wizytę poznańskiego teatru będą tam pamiętać długo, jeśli nawet nie ze względu na sztukę Fredry, to przez wzgląd na niecodzienne zdarzenie, jakiego bohaterem stał się mimo woli Andrzej Nowakowski, odtwórca roli Albina.

Oto w drugim akcie, rozpędziwszy się za opuszczonym klebkiem wótki Klary, Nowakowski wpadł w otwór dla orkiestry, pod scenę. Przedstawienie zostało przerwane, wszyscy zamarli w przerażeniu, ale wszystko zakończyło się szczęśliwie — Nowakowski, niczym kot, spadł na równe nogi i po paru chwilach wkroczył ponownie na scenę. Gruchnęły oklaski, przedstawienie

Dokończenie na str. 4

Dokończenie na str. 4

ostatnia

Dokończenie ze str. 3

godziny. Niewiele już czasu pozostało do świtania. Stary zaproponował mi, abym się położył w jego szałasie. Nie śmiałem odbierać mu miejsca. Nalegał. Zgodziłem się dopiero, gdy powiedział: — Ja już i tak oka nie zmruję. Ostatnia noc, panie, nie można jej przepaść...

Położyłem się w szałasie na sianie. On zaś dopiął na sobie waiówkę i do-rzucił do ognia.

Rano, gdy wstałem, stróża już nie było na torowisku. Po ognisku został tylko wypalony plac i popiół rozniesiony wokół. Na trawie błyszczącej od rosy dostrzegłem ślady jego odejścia. Dziwny człowiek — pomyślałem sobie — taki czuły na ludzką krzywdę...

Do leśniczówki dowlokłem się na południe, ledwie odnajdując drogę. Leśnik jeszcze nie powrócił. Staryszka powitała mnie kłanieniem drobnych, wysuszonych rąk.

— Z kolacją czekałam do nocy. Zachodziłam aż w głowę, czy się obraził, czy pobłądził w lesie? Całą noc panna nie była!

— Nie zginałem. Przesiedziałem sobie pół nocy ze słowem na torowisku. Opowiadał mi takie ciekawe historie. Zna go pani może?

— A jakże, znam. Kto by go tu nie znał. Siedzi tam odkąd mu się chłopak utopił.

Zrozumiałem nagle wszystko. I poczułem do siebie żal, że zabrałem temu obcemu człowiekowi jego ostatnią noc cichego smutku.

STANISŁAW KAMIŃSKI

Z poznańskim teatrem w Brnie

Dokończenie ze str. 3

początko się dalej, ale tak Nowakowski, jak i jego partnerka Jadwiga Żywczyk, nie mówiąc już o widzach, nie od razu mogli opanować śmiech.

Tej nocy wyjechaliśmy do Brna później niż należało. Przy smaczkowym winie morawskim nastrój wytworzył się niepowtarzalny. Wyjechaliśmy stamtąd z żalem i z zapewnieniem wewnętrznym — a także oficjalnym — że nie jest to nasza ostatnia wizyta w tym mieście.

21 stycznia po obiedzie wyjechaliśmy do innego miasta powiatowego, Znojma, położonego nad samą granicą austriacką. Znowu ze „Słubami panienskimi”. Nowakowski, pomny zdarzenia w dniu poprzed-

Trzech dziennikarzy poznańskich wybrało się na spływ Odrą. Płynęli najpierw kajakiem, później motorówką. Bacznie się rozglądali. Rozmawiali z napotkanymi ludźmi. Zapisywali ciekawe fakty i anegdoty. Porównywali historię z teraźniejszością. Powstała z tego dwustustronicowa książka.

Na oko książka ładna. Wydawnictwo Poznańskie zapewniło doskonały papier. Znany fotografik Marian Kucharski oraz jego koledzy z Opoli, Wrocławia i Szczecina zamieścili kilkadziesiąt różnorodnych zdjęć. Obwołana z typowym nadodrzańskim krajobrazem i tytuł „Spotkanie z rzeką” wyjaśniają od razu, że mamy przed sobą reportaże.

Nie pierwsze to spotkanie autorów z Odrą. Henryk Jantos, Jerzy Kułtun i Zdzisław Romanowski od szeregu lat pasjonują się problematyką ziem zachodnich. Każdy z nich napisał na ten temat sporo artykułów, Romanowski nawet powieść nagrodzoną przez „Ossoli-num”, a wszyscy trzej wydali w 1959 r. wspólny tom reportaży „Granicznym ślakiem”. Porównanie tamtej książki z wydaną obecnie wypadła na korzyść nowego wydawnictwa.

Tym razem autorom udało się szczęśliwie uniknąć monotonii, która jest wrogiem każdej próby reportażu. Książka pulsuje zmiennym rytmem obrazów, nastrojów i wydarzeń. Akcja przenosi się z kajaków do barki wodniackiej, z nadodrzańskimi obozowiskami harcerzy pod dach weterana walki o polskość. W podziemiach ewangelickiego zboru w Szprotawie autorzy szukają starych polskich kronik. Legendarny diabeł Rokita patroluje im w

wędrownkach przez kombinat chemii. Przewoźnik na promie zdradza wiejskie sekrety. A pierwszy PPR-owiec w Ślubicach opowiada o trudnym roku 1946.

Ustawiczna zmiana tematu, zmiana bohaterów, środowiska jest wielką zaletą i... słabością tej książki. Czyta się ją dość żywo, to prawda. Ale czytając jednym tchem, ryzykuje się początku zawrót głowy od szybkości migających obrazów. Rwany styl i powierzchowność pierwszych wrażeń, mogą odstraszyć mniej wytrwałego czytelnika.

A szkoda, bo w miarę czytania reportaże nabierają jasności i głębi wyrazu. Tok narracji przypomina nurt rzeki, którą opiewa. Zrazu nie efektowny, słaby, chybliwy, zwolna nabiera siły i rozmachu. Niepostrzeżenie unosi czytelnika w ciekawy świat Nadodrzy. Obrazy prze-stają migać, różnicują się, wbijają w pamięć. Oto Głogów wstawiony podwójną tragedią dzieci polskich z czasów Krzywoustego i w roku 1943. Dzisiaj Głogów zyskuje nową sławę — złoty blask miedzianego zagłębia. Oto śluga na Odrze jedna z wielu. Stopień wodny gromadzi nie tylko wodę, tu znalazła życiową przystań Marysia z Podhala i Bogdański znad Wisły.

Strona za stroną, zdjęcie za zdjęciem, śledzimy bieg rzeki, zakręty historii i wartki nurt współczesności. Odra przestaje być dla nas znakiem na mapie i hasłem z afisza. Rozpoznajemy w niej zwiastującą rzekę polską. Jak Wartę bliską. Drogą jak Wisłę. I to jest rzeczywisty sukces książki.

„Spotkanie z rzeką” H. Jantos, J. Kułtun, Z. Romanowski. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1961 r., stron 225. Cena 20 zł.

notesach. I znowu, co nasze to wasze. Może jeszcze na swój sposób serdeczniejsze, jako że byliśmy pierwszą grupą Polaków, która po wojnie zawiązała do tego pogranicznego miasta. Miasta niebywałych wartości turystycznych i poznawczych przez wzgląd na zachowane pamiątki dawnej przeszłości Znojma.

Wrażenie zbierało się w ciągu tego tygodnia pobytu w Czechosłowacji. W poniedziałek 22 stycznia spędziliśmy w Brnie, a wtorek w Pradze.

Była to pouczająca, pożyteczna podróż, udany pierwszy krok teatru poznańskiego poza rogatki Poznania. Efekty wymiany teatralnej między Brnem i Poznaniem już dziś można mierzyć nie tylko wymiarem artystycznym i kulturalno-towarzystwem, ale również politycznym, służącym lepszymi wzajemnymu poznaniu i zbliżeniu narodów Polski i Czechosłowacji. Do zobaczenia — za rok w Poznaniu, a za dwa ponownie w Brnie!

FELIKS FORNALCZYK

Jerzy Janitz

Reporterski spływ Odrą

Eugeniusz Paukszta

Nowy nurt

Tomem opowiadań dziewięciu pisarzy radzieckich, opowiadań po raz pierwszy opublikowanych w roku 1960 — ta data jest wymowna — świetnie wprowadzających w zakres problematyki szczególnie dziś interesującej pisarzy znowu uraczył nas PIW. „PO-RA SPADAJĄCYCH GWIAZD” (od tytułu opowiadania W. Astafjewo) to wybór tekstów, gdzie na pierwszy plan wysunięte zostają bardzo osobiste, bardzo intymne przeżycia jednostki. Miłość, krąg problemów rodzinnych, zdrada, ciężenie tradycji, sprawy bardzo ludzkie, bardzo serdeczne, dopiero w dalekim tle dostrzegamy czy to wojnę, czy heroizm pracy na przywracaniu życia ugorach, czy wielką budowę. I znamienne, że ukazane właśnie przez pryzmat najbardziej osobistych przeżyć, tamte sprawy stają się także bliższe, tracąc sloganowy patos, nabierają pobłasków. „Droga żuraw” W. Lidina, „Cień” A. Kieszczewski, „Skorpionowe jagody” N. Ziernowej, to opowiadania może

najbardziej, obok tytułowego, charakterystyczne dla nowych tendencji prozy radzieckiej. Człowiek wychodzi na pierwszy plan, jego troski i radości, najbardziej wewnętrzne przeżycia. Przez to, proza ta, pozbawiona sztuczności, na siłę heroizowanego patosu, staje się jakaś serdecznie ludzka, nawet nuta sentymentu nie razi, dodając swoistego posmaku.

W „Iskrach” wydana została powieść Iwana Szczegolichina „SNIEŻYCA”. Rzecz dzieje się na bezkresnych stepach, tych ugorach, które mają zacząć rodzić zboże, stać się spichlerzem kraju. Ale to jest to, z rzadka tylko wysuwające się na plan pierwszy, wtedy zresztą jakby odbarwione, tracące sztuczność. Istotne są losy uczuć ludzkich, sprawy miłości, zdrady, hartu i poświęcenia. Charaktery prawe i obok pływaczna, sokostwo, starcia tych postaw, rozwiązywane zresztą niekoniecznie według taniego schematu. I wierzę, że właśnie dopiero takie ujęcie zezwala czytelnikowi pełniej dostrzec tę sprawę, wielkiego przedsięwzięcia likwidacji bezkresnych, jałowych polaci stepowych na rzecz łanów falującego zboża. Autor nie zawszę potrafił sprostać ambitnie stawianym przed sobą założeniom, książka ma wady i konstrukcyjne i szereg naiwności, ale dominująca w niej szczerość, umiłowanie człowieka i chęć zrozumienia, co w nim się dzieje, co tam jest najważniejsze, przeważa nad mankamentami.

Nowy wieś nie mógł ominąć także i literatury wojennej, który to temat długo jeszcze zaprzątać będzie uwagę pisarzy. MON sprezentował nam niedawno „KILKA DNI”, nowy utwór Aleksandra Beka, autora słynnej „Szozy Wołokołamskiej”, jakby dalszy ciąg tamtej fascynującej opowieści o losach Kazacha Momysz-Uty. Osobście wole „Szozę Wołokołamską”, to utwór niewątpliwie bardziej dojrzawy artystycznie, ale w „Kilku dniach” pociąga mnie coś innego. Oto pogłębienie nuty wielkiej szczerości, jakiej zasadnicze postawienie naprawdę relacji o losach kampanii, gdzie obok triumfów, nie brakło przegranych i zgola klęsk, gdzie radość zatruwana była często gorzkością, obok siły ujawniała się bez osłonek i słabość człowieka. Ta szczerość, głęboka prawda, trafne studia wnętrza ludzkiego przyciągają, ujmują swą serdeczną wiarygodnością, patos przestaje

razić, stając się zrozumiałym i — w tych warunkach — nieodzownie koniecznym. Bo nawet ten patos — rzadki zresztą — w jakiś sposób podkreśla prostotę, heroiczną wierność relacji.

W MON-ie również ukazały się wspomnienia generała M. Popiela (czemu właściwie wydawnictwo nie podało nigdzie imienia autora w pełnym brzmieniu?) pt. „TRUDNE DNI”. Temat, znany nam już z paru powieści, tu zresztą już omawianych, poznajemy teraz nie z relacji pisarza, ale z osobistych wspomnień jednego z uczestników, ludzi poprzez wysoką rangę, jak i osobisty wkład najbardziej uprawnionych do oddania prawdziwego nastroju walk tuż po wybuchu wojny, a więc w momencie zaskoczenia i dezorganizacji. M. Popiel odzwierciedla przebieg walk w okręgu lwowskim, słynne przerwanie kotła pod Dubnem, przebijanie przez hitlerowskie okopanie. Improwizacja często zastępuje przemyślane sztabowe decyzje, odwaga styka się z tchórzostwem czy paniką, ujawniają się prawdziwe postawy ludzkie, na czoło zaś wysuwa się heroizm zwykłego żołnierza i niektórych dowódców, w najcięższej sytuacji nie dopuszczających myśli o przerwaniu walki. Wspomnienia pisane są bardzo szczerze, poruszają wiele spraw dotychczas raczej pomijanych, nie ukrywają trudności, bolesnych niespodzianek, zarazem jednak przepojone są ujmującą wiarą w prawdę i słuszność własnej sprawy, a zatem i w jej zwycięstwo.

z książką na



Polityka kontynuuje rozpoczętą po XXII Zjeździe KPZR dyskusję na tematy związane z międzynarodowym ruchem robotniczym i teorią marksistowsko-leninowską. Tym razem oprócz materiałów z prasy zagranicznej, tygodnik przynosi dyskusyjno-polemiczny artykuł pracownika naukowego Instytutu Historycznego w Poznaniu — Jerzego Ochmańskiego zatytułowany

Wokół pojęcia narodu

Autor zastanawia się nad definicją pojęcia narodu sformułowaną w 1913 roku przez Stalina, przeprowadza jej krytykę i próbuje ją rozszerzyć. Jak wiadomo, przyjęła przez naukę marksistowską jako dotychczas najpewniejszą, definicja

ta głosi: „narod to wytworzona historycznie trwała wspólnota ludzi, powstała na gruncie wspólnoty języka, terytorium, życia ekonomicznego i układu psychicznego, przejawiającego się we wspólnotce kultury”.

Rozpatrując po kolei wszystkie elementy tej definicji, autor zatrzymuje się w szczególności nad wspólnotą życia ekonomicznego, jako nieodłączną częścią składową pojęcia narodu.

„Jej znaczenie — stwierdza autor — opacznie pojmował Stalin twierdząc, że występuje ona dopiero w ustroju kapitalistycznym i sprowadzając ją do wykształconego przez kapitalizm rynku narodowego. Ponieważ przed kapitalizmem zjawisko rynku narodowego w pełni nie występowało, Stalin z tego sprostowania wyciągnął wniosek, jakoby naród był wytworem dopiero epoki kapitalizmu, a dawniej narody nie istniały... Tymczasem

kapitalizm poprzez wykształcenie rynków narodowych... stwarzał warunki dla powstania burżuazyjnych narodów tylko, a nie narodów w ogóle. Pojęcie rynku narodowego Stalina niesłusznie utożsamia z pojęciem więzi ekonomicznej...”

Autor stwierdza tym samym, iż narody istniały także w epoce przedkapitalistycznej, gdy tymczasem Stalin uważał że wówczas były tylko narodowości. Za słabą stronę stalinowskiej teorii narodu, autor uważa i to, że:

„nie uwzględnia ona tego, że naród jest wspólnotą społeczną podzieloną na klasy i warstwy, nie bierze też pod uwagę czynnika ideologicznego, zaś czynnik kulturalny sprowadza do bliżej nieokreślonego układu psychicznego.”

Uogólniając swoje rozważania Jerzy Ochmański proponuje następującą definicję narodu: „narod, to historycznie wytworzona i zmieniająca się, trwała, świadoma wspólnota ludzi o różnej klasowej i warstwowej strukturze, powstała na gruncie wspólnoty języka, terytorium, życia ekonomicznego i kultury.”

W tej samej Polityce Tadeusz Kołodziejczyk pisze o Pile, gdzie przebywał ostatnio (po raz 9 w ciągu 2 lat) w związku z obradami X miejskiej konferencji partyjnej.

Kto na tym traci?

Pod takim tytułem Tadeusz Walkowski zamieszcza w Tygodniku Demokratycznym artykuł na temat roli techniki w doskonaleniu produkcji przemysłowej. Autor zajmuje się sprawami, które hamują szybki, dynamiczny rozwój postępu technicznego.

„W wielu przedsiębiorstwach — stwierdza — nie wykorzystujemy w pełni posiadanej mocy, jednocześnie wszędzie na ogół brakuje nowych środków na budowę dalszych zakładów lub wydziałów... Oto w całym przemyśle maszynowym zmianowość wynosi obecnie zaledwie 1,4 (pracuje się na niecałej półtorce zmianie). Wiele przedsiębiorstw pracuje tylko na jedną zmianę, a więc park maszynowy wykorzystywany jest tam w 1/3 swej mocy.”

Autor instynktownie postuluje, by decydować się na nowe inwestycje dopiero po uruchomieniu wszystkich rezerw w dziedzinie postępu technicznego.

Socjolog, psycholog, plastyk

Nasze fabryki, nawet te nowo budowane, nie często są wzorem zakładów pracy dwudziestego wieku. Nie przywiązują się dostatecznej wagi do estetyki, do tworzenia jak najlepszych warunków pracy, do troski o barwę, kształt, przestrzeń. Sprawom tym dotychczas najwięcej uwagi poświęcała prasa, ale — jak słysząc — powoli zaczyna się coś zmieniać w tej dziedzinie także w fabrykach. O ciekawym przykładzie pisze Trybuna Ludu (nr 22). Zdzisław Jagielski omawia zmiany, jakie zachodzą w zakładach mechanicznych „Ursus”. Niedawno wprowadzono tam frzy nowe „stanowiska pracy”, najpierw angażując socjologa i psychologa. Kierownictwo doszło bowiem do wniosku, że:

„niewiele wie o założce, o tym co myśli, jak się czuje w zakładzie robotniczy.”

Po pierwszych badaniach ankietowych tych specjalistów na temat fluktuacji i jej przyczyn: „okazało się np., że przyczyną odchodzenia z pracy bynajmniej nie są na ogół zarobki, ani nawet często bardzo trudne warunki dojazdu. Bardzo ważny odcisk przyczyn stanowi właśnie atmosfera pracy. Stosunki między robotnikami, mistrzami, między młodymi i starszymi, między samymi robotnikami... Okazało się też, że duży procent zwalnających się z zakładu stanowią robotnicy młodzi, nowoprzyjęli... Nikt ich nie wprowadza w środowisko, nikt nie ma z nimi o otoczeniu, pracą, możliwościami awansu, perspektyw.”

Do jeszcze bardziej odkrywczych dla kierownictwa zakładu wniosków doszli ci specjaliści przy przeprowadzaniu systematycznych badań nad przyczynami wypadków przy pracy. Wówczas zaszła potrzeba powołania trzeciego specjalisty — plastyka.

Trzej specjaliści ściśle ze sobą współpracują, wychodząc zresztą poza bramy fabryczne. Zajmują się np. kulturą osobistą robotników, urządzaniem osiedla fabrycznego.

Przykład „Ursusa” wart jest upowszechnienia, oczywiście nie w szczegółowych metodach, tamtejszych doświadczeń, potrzebne jest upowszechnienie samej zasady przeprowadzania badań socjologicznych i psychologicznych bezpośrednio w zakładach pracy. Specjalistów — socjologów, psychologów, plastyków — i u nas nie brak, chodzi jednak o inicjatywne zakłady pracy. Wprowadzenie takich nowych „stanowisk pracy” z pewnością się opłaci.

Podwójnie zainteresowani?

Lubimy jeździć za granicę, ale często zapominamy, że możliwość naszego wyjazdu uzależniona jest od tego, jak rozwijać się będzie turystyka z za granicy do naszego kraju. Te sprawy porusza w rozmowie z redakcją Przeglądu Kulturalnego przewodniczący GKKFiT Wł. Reczek.

„Każdy obywatel w Polsce — stwierdza Wł. Reczek — powinien być dwa razy zainteresowany turystyką przyjazdową. Raz jako patriota, który chce, żeby napływały dewizy a drugi raz jako przyszły konsument, który chce wyjechać za granicę... Mamy dobrą sieć dróg, dobre nawierzchnie (czy rzeczywiście? — przyp. lektora) i przede wszystkim nieprzeciążoną sieć dróg... musimy przede wszystkim budować urządzenia noclegowe... Dalej musimy poprawić obsługę, która jest bardzo złą, jak na zagraniczne wymagania. U nas zagraniczny klient może jeść tylko w restauracjach pierwszej kategorii, które wypadają stosunkowo drogo dla średnio zarabiających. W takim Paryżu można pójść do najgorszej restauracji bez obaw, że potrawa będą nie do jedzenia, albo że dostanie się fiasko w łeb.”

A u nas? Ba, „Rok gastronomiczny” się skończył.

LEKTOR